

■ *Ojciec jest mnichem, czyli kim?*

Właśnie (*śmiech*). Jeśli jestem mnichem, to kimś, kto – według definicji – żyje sam z Bogiem i dla Boga; kimś, kto z tą samotnością się zмага, żyjąc wobec tego na przekór zglobalizowanemu światu; kimś, kto chce naturalnie kształtować i przeżywać rozmaite ludzkie relacje, pokazując, że tak naprawdę jest tylko jedna prawdziwa relacja – z Panem Bogiem; kimś, kto próbuje ze swoją kruchą ludzką naturą, psychiką, a także ze swymi różnymi, mniej lub bardziej uporządkowanymi myślami, dążyć do tego ideału. Mnich to zatem ktoś świadomie trwający w pewnym rozdarciu egzystencjalnym, czyli – użyję tu może górnolotnego stwierdzenia – walczący o najważniejsze sprawy.

■ *Myśli Ojciec, że kiedyś łatwiej było być mnichem niż dzisiaj?*

Wydaje mi się, że zasadnicze „wątki mnisze” – tak to nazwijmy – były i są zawsze te same, a więc, jakiś radykalizm, odcięcie się od pewnych, łatwych, standardowych, przeciętnych postaw i wyjście gdzieś dalej. Jeszcze nie wiadomo dokąd, ale na pewno w takim kierunku, że człowiek czuje się stworzonym do czegoś więcej. Jest takie filozoficzne stwierdzenie, obecne również w niektórych nurtach teologii, że Bóg jest zawsze większy niż nam się wydaje i niż Go odczuwamy. Tak chyba należy rozumieć mniszą tradycję – jako pokorne, ale bardzo głębokie i bardzo uczciwe szukanie tego, kim naprawdę jest człowiek, kim jest Bóg i co to znaczy przeżywać swoje życie. To okazuje się pustynią. Trudem. Walką. W konsekwencji trzeba się zmierzyć z pewną rzeczywistością – i pokus, i różnymi myślami o ucieczce – czy nawet z wątpliwościami. Oto pewien archetyp – nawet tak bym powiedział – życia mnicha.

■ *Powiedział Ojciec na początku, że z definicji mnich jest samotny, ale co oznacza samotność? Kiedy teraz jesteśmy w Tyńcu, to możemy się zastanawiać, jaka samotność. Dookoła pełno ludzi, jest wspólnota, w której Ojciec żyje...*

Jestem rzucony w coś, czego się nie da do końca określić. Przychodzi mi na myśl zdanie z Ewangelii – *lisy mają nory, a ptaki powietrzne gniazda, a Syn Człowieczy nie ma gdzie głowy złożyć...* Myślę, że specjalnie użyła Pani takiego „zdeformowanego” obrazu naszego życia, przeciwstawiającego ludzi będących na zewnątrz klasztoru temu, co jest w klasztorze. Może się wydawać, że w klasztorze wszystko jest

poukładane (co jest nieprawdą) – wtedy wyjdzie, że mnisi żyją inaczej niż Pan Jezus. W najbardziej egzystencjalnym, w najgłębszym wymiarze bycia mnichem, to się przekłada oczywiście na posłuszeństwo, na życie w klauzurze, na śluby: benedyktyni składają także ślub stałości i ślub nawrócenia; w klasycznej tradycji życia konsekrowanego są to trzy śluby -- czystość, ubóstwo, posłuszeństwo. A mówiąc najprościej – mnich jest zawsze trochę nie u siebie.

■ *To znaczy w drodze?*

Mnich jest w drodze, ale w takim znaczeniu, że nie ma się gdzie zaczepić. Człowiek chciałby czuć się pewnie, gdzieś się utwierdzić. Nawet jeśli tego próbuje, to jest to cały czas jakiś stan zawieszenia, pewnej tęsknoty.

■ *Zawieszenia między czym a czym?*

Zawieszenia między pełnią pokoju, pełnią sensu, a tym, co jest tutaj. Podobnie jest, gdy ludzie się kochają – znają się, dobrze im ze sobą, ale zostali rozłączeni. Mogą żyć między ludźmi, funkcjonować, ale tęsknią i jest im smutno, chociaż dookoła tętni życie. Podobnie jest z osobą tęskniącą za Panem Bogiem.

■ *W czasie rekolekcji wielkopostnych w Poznaniu w 2005 roku ksiądz Jerzy Szymik mówił właśnie o takiej tęsknocie, że jest podobno największą łaską – tęsknić za Panem Bogiem.*

Tak, Ksiądz Szymik jest poetą (*śmiech*), więc łatwo mu o takich rzeczach mówić (z całym szacunkiem dla poetów). W mniszym konkretnie przekłada się to chociażby na bycie w celi. Jest coś takiego, jak „syndrom niedzielnego popołudnia” (tak to nazywam), kiedy to modlitwy się odśpiewało, nabożeństwa są już też odprawione, obiad jest zjedzony i – zostaje się samemu z sobą, wracając do celi. No i co teraz? Jak jest ładna pogoda, idę na spacer, spotykam ludzi, którzy są razem, często całą rodziną bawią się, a mnich – no właśnie, co? Mnich jest sam ze sobą. Oczywiście może się modlić do Pana Boga, ale może odczuwać brak takiej ludzkiej bliskości. Czasami po prostu potrzebuje zwyczajnego wsparcia i pociechy. Jeśli jednak konsekwentnie jest sam ze sobą, to po ludzku nie ma żadnej możliwości, by ktoś mu pomógł. Chyba, że ktoś ma objawienie (*śmiech*) – choć wątpliwe, żeby tak na zawołanie Pan Bóg kogoś pocieszał.

■ Reguła opracowana przez świętego Benedykta była wzorowana na Regule Pachomiusza, dzięki czemu cenobityczny model życia został zaszczerpiony na terenie Europy. Jaka jest relacja między mnichem a wspólnotą, w której żyje? Wspólnota benedyktyńska jest cenobityczna, czyli bracia mieszkają razem?

To też jest paradoks, że mnich jako sam – *monos* – pozostaje samotny nawet – albo właśnie – we wspólnocie. Wspólnota jest pewnym oparciem, punktem odniesienia. Człowiek nie jest w stanie, tak naprawdę, unieść do końca swej samotności. Dlatego święty Benedykt mówi wyraźnie, że pustelnikiem może być tylko ten, kto już zaprawił się w tym mniszym zmaganiu wspólnotowym. Dopiero wtedy może on opuścić wspólnotę i żyć z boku – właśnie jako anachoreta czyli pustelnik. Ten charyzmat realizują np. kartuzi. Żyją faktycznie w samotności, ale zapewne mają na tyle wyrobione mechanizmy zakorzenienia się w Panu Bogu, czy dążenia ku Niemu, że mogą to znieść. Ale pamiętajmy, że człowiek z natury swojej jest słaby. Czy chcę, czy nie chcę, mam doświadczenie własnej słabości, która mnie ogranicza i ciągnie w dół. Jest to doświadczenie mojej sfery emocjonalnej i psychicznej – nieraz fizycznej. Czuję jednak, że to nie jest wszystko. W takim rozdarciu człowiek potrzebuje wsparcia. I dlatego potrzebni są współbracia. Jak ich nie ma, to może się i tak zdarzyć, że mnich idzie do celi, zrzuca habit, wsiada w samochód i jedzie do kolegów, do znajomych – albo do znajomej – i tam się „pociesza”. Niby nic w tym złego, ale nie po to się wybierało samego Pana Boga, by „zamieniać” Go na miłsze i łatwiejsze relacje z ludźmi. W tej chwili to jest problem wielu duchownych, którzy nie mają uporządkowanego i zintegrowanego głębokiego stosunku do Pana Boga. Nie mając do tego oparcia we wspólnocie, czy w kierownictwie duchowym, tak naprawdę prowadzą podwójne życie. A wszystko dlatego, że nie są w stanie unieść tej samotności, która mogłaby być szansą.

■ Ważne jest to uporządkowanie. Ojciec żyje tu już od wielu lat i ma na tę rzeczywistość inne spojrzenie, nie ma już dystansu. W dzisiejszym świecie jest wiele osób samotnych, które mają trudności w nawiązywaniu kontaktów. Można by zapytać, czym ta samotność różni się od samotności mnicha. Wiemy, że ma Ojciec koncepcję anonimowego monastycyzmu – na czym on polega?

Dla mnie jest to wielkość i potencjał tradycji monastycznej. Ponieważ w dzisiejszych czasach taka postawa – życia w samotności – jest bardzo częsta, jest ona jakąś

wspólną płaszczyzną dla mnichów i ludzi samotnych. To, że my tu w życiu monastycznym znosimy tę samotność i ludzie w świecie też żyją w samotności – czy z wyboru, czy dlatego, że akurat nie znaleźli partnera życiowego – jest szansą dla rozszerzenia formuły monastycyzmu – właśnie na „monastycyzm anonimowy”. Można żyć jak mnich, nie wiedząc o tym.

■ *Ale wybór samotności to nie to samo, co zaakceptowanie samotności, bo nie mam nikogo.*

Nie patrzyłbym tak na to, wybór następuje w innym momencie – ja sam nie wiedziałem, że zostanę mnichem, zresztą miałem całkiem inne plany życiowe, inną wizję swojego życia. Jest pewien moment, kiedy człowiek, chcąc być uczciwy w swoim życiu i zawsze uczciwie patrzeć na swą twarz w lustrze, dość szybko stwierdza, że nie może zgodzić się na pewne rzeczy. Jeżeli więc człowiek widzi, że pewne rzeczywistości nie podobają mu się w świecie, w relacjach, to nawet jeśli ma sympatię – dziewczynę, chłopaka – ale w pewnym momencie widzi, że to nie jest to, czego szukał, że musi zdradzać coś dla siebie najcenniejszego, to wtedy w to nie idzie. Czasami ten wybór jest podyktowany jakąś wartością, jakimś priorytetem, który odcina mnie od ludzi. I, bez wątpienia, ból – to musi boleć. Tak wybrałem, w pewnym momencie ostatecznie stwierdzając, że wejście w różne sytuacje, które się przede mną otwierały, oznaczałoby zdradę ważnych dla mnie wartości, czy – innymi słowy – sprzeniewierzenie jakiegoś skarbu, którego depozytariuszem się czułem. Może nie miałem szczęścia? W takiej sytuacji skierowałem się do Tyńca. Ludzie czasami próbują czegoś jednego czy drugiego, jednego, drugiego, trzeciego partnera – i widzą, że nie idzie. Oczywiście, mogą robić dobrą minę do złej gry albo próbować, czy czekać, by się coś zmieniło. Można czekać, aż dana osoba – przez nas kochana – zmieni się. Niestety, jeśli ktoś świadomie nie podejmie pewnego wyzwania, jeśli nie nazwie pewnych rzeczy po imieniu, to potem jest tylko gorzej i brnie się niewiadomo dokąd. W praktyce oznacza to często rezygnację z ważnych dla siebie wartości. Przystajemy wtedy być sobą, jedynie jakoś egzystując, czy już tylko wegetując. A jeśli chce się być uczciwym, to trzeba powiedzieć sobie, niestety, zdecydowanie: z tego rezygnuję, np. ze związku przypadkowego, niesakramentalnego... No i szukam dalej. Jest to dla mnie bardzo wzruszające, gdyż – można powiedzieć – otwiera przejmującą przestrzeń solidarności osób uczciwych i

wiernych ideałom, które nawet mając jakąś okazję do małego „świństewka”, nie korzystają z niej, bo wiedzą, że przez moment byłoby fajnie, ale na dłuższą metę pozostałby wstyd. A ponieważ chcę być wierny Panu Jezusowi, więc pozostaję samotny – z wyboru czy też nie do końca – zawsze jednak świadomie.

■ *Czyli anonimowy monastycyzm to byłaby płaszczyzna samotności i...?*